

Kronika tygodniowa.

Święta, święta i już po świętach!... Ani się spostrzeżliśmy, a tu rok tysiąc dziewięćsetny siedemnasty już w całej swej okazałości wtoczył się na arenę światową. I dziś dopiero można się poza siebie oglądać i opowiedzieć wszem wobec i każdemu z osobna, bez względu na to, czy go to interesuje, czy nie, jak spędziliśmy dni świąteczne.

— Pod psem! — powie ten i ów, a ja to po twierdzą.

Bo, proszę sobie wyobrazić, przed samymi Świętami, kiedy wody najbardziej potrzeba do najrozmaitszych celów gospodarskich, magistrackie rury zastrejkowały i przestały sikać, nowy zaś wodociąg, który miał zasilić stary, jeszcze nie jest gotowy... Lament więc między gospodyniemi, łapanie wody, ile się da i gromadzenie jej, potrzeba, czy nie!... Ile wody w ten sposób zmarnowano, mogą powiedzieć tylko kanały, do których ją potem, jako bezużyteczną, wylano. Poziom zwierciadła Wisły podniósł się wobec tego o cały jeden centymetr, co podobno odbić się ma bardzo dodatnio na wodociągu bieleńskim, komunikującym się w cichości z królową rzek polskich.

Wody więc w wodociągu brakło, nadmiar jej natomiast pojawił się w nafcie, z czego mieszkańcy miasta Krakowa niebardzo byli zadowoleni i żądali nawet interwencji władz, które też wystąpiły z całą energią przeciw niesumiebnym spekulantom. Ci jednak tłumaczyli się, że zrobili to tylko w interesie odbiorców, nafta bowiem z wodą jest dopiero prawdziwą naftą bezpieczeństwa, nie tylko wcale się nie pali, więc szkody nikomu nie wyrządzi, można jej nadto, zamiast zwykłej wody, używać do gaszenia wybuchłego ognia. Ale ten się jeszcze nie urodził, żeby wszystkim dogodził!... Handlarze dolewali wody tylko ze względu na dobro i bezpieczeństwo Krakowian, a ci ich jeszcze oskarżyli i żądali ukarania... I rób tu komu dobrze!... Za twoje myto jeszcze cię obito!...

W nafcie więc była woda, to fakt pewny, brakło jej natomiast w wodociągu, co znowu pograżyło, jak się już wyżej rzekło, w najczarniejszą z czarnych rozpacz piękniejszą połowę rodzaju ludzkiego, z pośród której rekrutują się nasze panie gospodynie, a między niemi, *sit vaenia verbo*, i moja Weronika, choć wcale piękną ani nie jest, ani nią nigdy nie była!

Z powodu owej wody miałem i ja, choć mało jej używam, dość kłopotów. Wracam do domu wieczorem, w kuchni znajduję dwie balie, dwie konewki i trzy cebrzyki pełne wody. Nie licząc naturalnie najrozmaitszego kalibru garnków, również wodą napełnionych. Zaciekawiony, co to ma znaczyć, pytam o powód i dowiaduję się, że mokre zapasy przygotowane w tym celu, by rybki, które nazajutrz miało się zakupić na wigilię, mogły wesolo we wodzie spędzić ostatnie godziny swego opłakanego żywota.

Pochwaliłem zapobiegliwość mej małżonki i położyłem się spać, nazajutrz bowiem miałem skoro świt iść do Parku Krakowskiego po magistrackie karpie, które miały nadejść ze Zatora. Już po godzinie szóstej rano zaraportowała Kasia, nasza guwernantka „do wszystkiego“, że na placu Szczepańskim zaczyna się tworzyć ogonek obok kadzi z rybami, ściągnięto mnie więc bez litości z łóżka (a śniłem właśnie, że Redakcja przyznała mi i wypłaciła piękną remunerację!) i kazano co prędzej pędzić na stanowisko.

— Ja pójdę wprost do Parku! — tłumaczyłem. — Tam prędzej dostanę...

— Idź sobie, gdzie chcesz, ale mi bez ryb się nie pokazuj! — rzekła moja lepsza połowa.

Więc poszedłem, a raczej pojechałem tramwajem, nie bardzo mi się bowiem spieszyło. W Parku także ogon!... Widocznie ludziska tak się do nich przyzwyczaili, iż bez ogonów już się obejść nie mogą... Ba, ale stało się coś gorszego!... Ogony jest, a ryb niema, a tu Weronika nakazała wyrażnie, że bez ryb pokazywać mi się w domu nie wolno.

Gonię więc na plac Szczepański, ale i tu ryb brak, wobec czego wracam znowu do Parku i dostaję się na sam koniec ogona. Ale ryb jeszcze niema. Władza sprzedająca, a raczej mająca sprzedawać ryby, zła, publiczność naturalnie także, lada chwila można się spodziewać burzy z grzmotami. Wobec tego zmieniam ugrupowanie i idę znowu do Szczepańskiego odcinka, ale tylko po to, by wrócić stamtąd z próżnymi rękami.

I znowu znajduję się w Parku Krakowskim, ale w chwili tym razem bardzo szczęśliwej, zajechało

bowiem kilka fur, a na każdej z nich widzę beczki, w beczkach zaś wodę, więc zapewne i ryby będą...

— Są!... — wyrwał się okrzyk z piersi zgromadzonych, a „ogonek“ zaczął falować w tę i ową stronę. Deptano sobie po odciskach, gnieciono żebra, czekano jednak mniej lub więcej cierpliwie na swą kolej!

Doczekałem się i ja. Niespełna po dwu godzinach od czasu ostatniego tutaj powrotu znalazłem się przed obliczem sprzedającego pana i usłyszałem zapytanie:

— Ile?

— Kilo! — odpowiedział ze smutną miną, gdyż tylko na tyle starczyły me wojenne kredyty.

Zanurzył siatkę w kadzi i wyciągnął stamtąd dwanaście rybek, niewiele większych od dorosłych sardynek, w każdym zaś razie mniejszych od średniej wielkości śledzi.

— Jest kilo! — rzekł pan z magistratu.

Wybałuszylem nań oczy patrząc od czasu do czasu i na ów narybek. Głowa, ogon i nic więcej!

— Panie łaskawy! — odezwałem się pokornie — Co ja, względnie Weronika, zrobię z tym drobiazgiem?

— A niech pan sobie robi, co się panu podoba!... Mnie to nic nie obchodzi! — odparł uprzejmie.

— Tak! Dobrze to panu mówić, ale mnie kazała żona kupić karpia, a pan mi daje jakieś plotki, czy sardynki.

— To są karpie!

— Ale małe...

— Urosną!... Zresztą, jeśli się panu nie podoba, niech pan nie kupuje, znajdą się inni amatorzy. Proszę się usunąć, widzi pan, ile osób czeka, a pan mi niepotrzebnie głowę zawraca... Takie małe rybki to nawet wygodnie kupić, niż całą kilową sztukę. Każdą można inaczej przyprawić: jedną na szaro, drugą smażoną, trzecią w galarecie, czwartą w occie i tak dalej... Bierze pan?

— Nie!

— To idź pan z Bogiem!...

Usłuchałem i poszedłem, naturalnie na Szczepański plac, tutaj jednak ryb nie dostałem, dowiedziałem się tylko, że ktoś tam przywiózł ze wsi kilka szczupaków, za które ludziska płacili na wagę złota. Ponieważ jednakowoż przekroczył taryfę maksymalną, skorfikowano ryby i odstawiono wraz z winowajcą do magistratu.

Podążyłem i ja w te ślady, niestety, nawet na ślad szczupaków nie trafiłem, wobec czego kupiłem u Wentzla dwa śledzie marynowane, by nie wrócić z próżnymi rękami i powoli, z miną bardzo rzadką, skierowałem swe kroki ku domowemu ognisku, przy którym kręciła się Weronisia z zakasnymi rękawami.

— Gdzie rybki? — zapytała zaraz.

— We Wiśle! — odpowiedziałem, nadrabiając miną.

— Nie rozumiem!...

— W takim razie zrozumiesz chyba, gdy ci powiem, że nie kupiłem nic, bo ryb niema.

— Tak to posłać niedołęgę! — westchnęła, patrząc na mnie z politowaniem — Niepotrzebnie tylko czas zmitręży i nic nie załatwi. Gdybym była poszła sama, ryby znalazłyby się z pewnością...

— Trzeba było iść!... Kto ci broił?

— A od czegoż mam męża?...

— Chyba nie od posytek!... Długo raz nie będę taki głupi i nie dam się użyć za posłańca. Ja, pan domu!... Nie dość, że zmarłem, jeszcze mnie czeka besztanie... Kupiłem zato dwa śledzie!

Podał mi je, wyrwała mi z ręki i rzuciła w moją stronę, trafiając mnie w sam wizerunek... We wigilię nie chciałem robić awantury, bo to zły prognostyk na rok cały, otarłem więc nos i spokojnie poszedłem do siebie.

— I tyle wody się zmarnowało! — słyszałem jeszcze głos mej rozsierdzonej małżonki za sobą, — Kasiu! Wylej do zlewu, a naczep świeżej, bo może jutro będzie potrzebna.

A teraz proszę mi powiedzieć, kto ponosi w tym wypadku winę. Ja, chyba nie, jeno magistrat, który obiecał, że będą rybki ze Zatora, a przyrzeczenia nie dotrzymał! Ale magistrat zasłania się znowu tem, że Zator zawiódł, Zator zaś tłumaczy się, iż magistrat spóźnił się ze zamówieniem, jak zwykle. Słowem, na tem tle możnaby napisać romans kryminalny pod tytułem „Gdzie winowajca?“, w którym naturalnie ja byłbym bohaterem, na niewinnym się bowiem skrupiło.

Badałem po Świętach dokładniej całą sprawę i doszedłem do wniosku, że wina jest po obu stronach. Zawinił i magistrat i Zator, pierwszy, gdyż się z zamówieniem spóźnił, drugi, iż obawiał się przysłać miastu ryby, nie otrzymawszy poprzednio gotówki. To smutne, gdyż widzimy z tego, że nawet Kra-

ków nie ma kredytu, a co dopiero mówić o takich chudopachołkach, jak, nie przymierzając, kronikarz...

Odeszło się więc bez rybek. zjadło się z apetytem owe tak zbezczeszczone śledzie, z Weronisą dałmy sobie buzi i pogodzili się, jak na przykładnych małżonków przystało. Drzewka naturalnie nie było także, za małą choinkę bowiem, choć ogłoszono ceny maksymalne, żądano tyle, co ongiś za kilkunastometrową jodłę lub sosnę. Dla kogo zresztą robić drzewko, skoro i człek stary i jego pociechy też się starzeją. Chyba samemu powiesić się na niem z rozpacz... To byłaby najpiękniejsza jego ozdoba!

Jak z tego Czytelnik zapewne już poznał, początek Świąt, to jest wigilię, spędziłem nie tak, jak się należy i jak to było po inne lata, ale pocieszam się, że sytuacja się w roku następnym poprawi, karpie w Parku Krakowskim tymczasem podrosną, a śledzie potanieją. Ale do tego potrzebny jest pokój, na który znowu nie chcą się zgodzić Anglicy i Francuzi. Zabronili oni we Święta śpiewać: „Cnwała Bogu na wysokości, a pokój na ziemi ludziom dobrej woli“... Na pierwszą część się zgodzają, na drugą zaś zgodzą się dopiero wówczas, gdy wzzględni się tylko ich warunki pokojowe.

Po nocie prezydenta Wilsona mocarstwa centralne wypowiedziały zaraz swe zdanie, że zgadzają się na propozycję, państwa koalicji natomiast czekają, które pierwsze ma się odezwać i w jakim tonie. Przypomina mi to małe miasteczko, w którym w kasynie ma się odbyć bal. Początek naznaczono na godzinę dziewiątą, jest już dziesiąta, a żadnej pani niema. Niczem laufry gonią zato sługi i dowiadują się, kto już przyszedł, nie wypadła bowiem, by na sali jawiła się pierwsza n. p. pani radczyni, skoro niema jeszcze ani pani rejentowej, ani doktorowej, ani aptekarzowej, ba, nawet i pani oficyalowej, by mogły podziwiać z jaką ona wchodzi *grandeza*... Wreszcie komitet bierze się na sposób. Gdy jakaś Kasia, czy Marysia trwożliwie wsunęła nos we drzwi, których z młodych panów daje jej koronę, by powiedziała swej pani, że już jest pani sędzina i pani mecenasowa. To samo powtarzają z drugą i trzecią i za kwadrans sala już pełna...

I koalicja tak postępuje. Niech jeno Anglia puści parę, odezwie się i Francja i Rosja, może i Włochy, o mniejszym narybku nie mówiąc, bo tych nikt słuchać nie będzie.

Ale niech się ktoś odezwie! Może się znajdzie jakiś komitetowy i da ową koronę... bo, dalipan, jeżeli w tym roku pokoju się nie zawrze i po raz czwarty mielibyśmy świętować przy akompaniamencie grubiej Berty, to w samej rzeczy lepiej się... powiesić!

Wojna winna, że i dwa dni Świąt poszły na marne... Gdzie zapukałeś, dowiedziałeś się, że „naństwo wyjechali do Zakopanego“... Trzeba było odejść z kwitkiem i niezaspokojonym apetytem i pragnieniem... Trudno jednak! Czasy ciężkie, choćbyś nawet miał pieniądze, nic kupić nie można, bo sprzedać ci nie chcą, a o winie, z powodu owego wyżej wspomnianego braku wody i mówić nie potrzeba... Choć kto wie, czy właśnie dlatego jej nie brakło, iż handlarze win zbyt wielkie zapasy robili na Święta, ludziska, że z powodu noty Wilsona naród będzie pił z radości. Jeśli do tego doda się ubytek wody, której użyto jako domieszki do nafty (o czem także było wyżej!), zrozumie każdy, że wodociąg mógł się znaleźć w położeniu bez wyjścia. A że to odczuł i że się martwił, dowodem tego, iż przed wigilią pękł tu przed samym Zakładem wodociagowym na Półwsiu, gdzie urzędują najwyższe jego władze.

Przynajmniej na pogodę nie mogliśmy narzekać, ale coż nam z niej, jeśli niema gdzie pójść i trzeba w domu siedzieć, łapę lizać i ślinę tykać. Pocieszał się przecież człowiek nadzieją, że w dniu Nowego Roku odbije to sobie z nawiązką, chyba bowiem nie znajdzie się nikt, kto by jak się należy nie podziękował za złożone mu gratulacje.

Ale o tem dowiedzą się P. T. Czytelnicy dopiero z następnej kroniki. Tak się złożyło, iż niniejszą przelewam z kalamarza na papier przed Nowym Rokiem, gdybym bowiem mógł jej zabrać się do tej pracy, zdaniem pana metrapaży, numer uległby stanowczo spóźnieniu. Nie wypadła zaś, by spaźniał się pierwszy numer w roku, i to w czasie, gdy wszystko inne odbywa się w ruchu przyspieszonym.

Poniosę więc życzenia tu i tam, a Wy je przyjmijcie, bym nie potrzebował potem narzekać, iż wygasła już w naszym społeczeństwie piękna i nasładowania godna cnota staropolskiej gościnności... To byłoby poprostu okropne!

(**Nerwowe bóle**) usuwa natarcie Felleri kojącym ból, uspokajającym nerwy fluidem z „essenci rosin z marką „Elza“. Znakiem środka domowego. Ceny pokojowe: 12 flaszek franko tylko za 6 koron. Aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacia). Przeszło 100.000 listów dziękczynnych i orzeczeń lekarzy. (b)